

J. POWALSKI.

## .. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

3

Jeden z obecnych pracował w dyrekcyi edukacyjnej pod Stanisławem Potockim, drugi był mieszkańcem stolicy, jak sam się przedstawił. Urzędnik z dyrekcyi edukacyjnej był stanowczy, trzeźwy, o uczciwych oczach szarych, ciemnych włosach, żywy i energiczny w ruchach. Jadł spiesźnie, mówił nagłaco i dosyć ostro. Mieszkaniec stolicy był więcej posunięty w wieku, choć młodszy znacznie od poety. Nosił harcap w czarnym woreczku jedwabnym, miał frak tabaczkowego koloru i pończochy w pasy. Pewna melancholijność spojrzenia i pogodna niedbałość w całej postawie mówiły o pogodzeniu się z kolejami życia, przynajmniej prywatnego. Z toku spraw publicznych bowiem bynajmniej nie był zadowolony.

— A ja wam, mości panowie, powiadam, — upierał się, cedząc słowa, — że wojska mamy za mało. Cóż to jest tych kilka pułków? A jeszcze częściej znaczna w Hiszpanii. Ja wam powiadam, że zaciągałbym jeszcze drugie tyle.

Mówił powoli i przez nos.

— Skąd? — zawołał urzędnik basem, marszcząc brwi. — Spytaj pan pana dobrodziej, który tu przybył z prowincyi, czy kraj ma jeszcze z czego dawać ludzi.

— Póki jeden wieśniak jeszcze jest na wsi, to ma, — rzekł z powolnym naciskiem mieszkaniec stolicy. — Zresztą ja nie mówię o innych, ale niech mnie to powierzą, tobyście panowie zobaczyli.

— Waćpan nie znasz chyba naszego wyborczego ludu, — zawołał gorąco poeta do urzędnika. — Co to za duch, co to za ochota! Sarmacka krew gra zarówno w sercu rycerza, jak pod sukmaną wieśniaka. Dziś lemiesz, jutro pikę pochwyć, oboje z równą ochotą dla ukochanej ojczyzny. Powiedz, panie Józefie dobrodziej, wszak się to w waszym departamencie formował pułk wybornej piechoty.

— Sformował się i poszedł, — odrzekł pan Kleszewski. — Stoi teraz gdzieś w Prusach. Ale co było ludzi. To już armia wciągnęła i wielkie jest podobieństwo, że nigdy nie wróci. Zaczem i ilość pól ornych się okroi, bo wątpić należy, czy nawet dwa pokolenia pokryją i zapełnią poczynione luki.

— Na Boga, panie Józefie, co słyszę? — zawołał poeta. — Waćpan tak mówisz, jakbyś żałował żołnierza ojczyźnie.

— Żołnierza ojczyźnie nie żałuję, — odrzekł pan Kleszewski, — ale żal mi ginących ludzi. Jest to dylemat, przynajmniej, nie na moje siły.

Te słowa były jakby ostrogą, która jednocześnie ubodła tak poetę, jak i mieszkańca stolicy. Obaj pospieszyli wyjść z tego zagadnienia. Ale gorąca wymowa poety wzięła górę na nosowym głosem współzawodnika.

— Ojczyzna, — mówił wzruszony, — żąda od nas naszej krwi, żąda naszego życia. Czyż możemy jej tego odmówić? Czyż jest w nas coś innego, niż ona, ona tylko jedna? Cóż nam głód i cierpienie, co nam całe nasze życie, gdy ją możemy odzyskać? Wszystko staje się jak proch i opada jak łachman przed jej obliczem. Kraj wycieńczony, zrujnowany, mówicie? Płakałbym i ja nad tem pierwszy, gdyby to na zbytki możnych, na czcze i marne igraszki. Ale co innego nasza nędza, nędza z ofiary nad siły, nad możność! Nędza nędzy nie równa! Patrzcie, co za zdrowie ta nędza chwalebna wszczepia w nasze dusze, patrzcie na dzieci Targowiczan, zdrajców, sprzedawczyków, jak mężnie walcząc krwią własną idą zmyć winy ojców. Patrzcie na naszego żołnierza: który inny, głodny i zziębły jak ten, obdarty, nieraz bosy, takim duchem pełniłby służbę? Wielką mistrzynią naszą jest to nad możność naszą wielkie staranie o ojczystą sprawę, to nasze wojsko, które żyjemy, jak pelikan swe dzieci, rozrywając własne łono. Być może, że wielu pokoleń praca jeszcze naszych ran nie zablizni, ale ileż następne pokolenia hartu i bohaterstwa przykładów z naszej krwawej pracy odbiorą?

— Masz waćpan rację, panie Dyonizy, — rzekł urzędnik, — ale nie tylko na wojsku ojczysta sprawa polega. Muszą być fundusze obrócone na edukację młodzieży, na rząd krajem, na podniesienie rękodzieł i przemysłu — wszystko zarówno uwagi żąda. A znajdując się przeciw ludzi, Polaka nazwy niegodni, którzy dobra pojezuickie, na edukację przeznaczone, chcą na własną obrócić korzyść. A nasz pan minister sprawiedliwości, w pruskie zapatrzony wzory,

popiera tę nikczemną nagonkę i rabunek uczenie zasadnia.

Pan Kleszewski dostrzegł co innego w przemowie poety.

— Może i jest w tem ta nauka bohaterstwa dla narodu — pomyślał.

Ale przypomnieli mu się chłopci, puchnący z głodu i wózki chłopskie, zaprzęzone w jednego ślaniającego się wołu, bezmierna nędza i upadek wszystkiego, i wróciła mu dawna niepewność.

— Panowie, właśnie miałem to samo powiedzieć, — pospieszył się mieszkaniec stolicy, — tylko waćpan nie dałeś mi przyjść do słowa, — dodał do poety. — Ale to jeszcze chciałem dodać, że wszystkim winna zła organizacja rządu, ospałość naszych władz — nie do wybaczenia! Ja, mości panowie, przywykłem mówić prawdę, choćby gorzką: przy większej gorliwości większe były dochody, a podatki mniejsze. Armię zaś powiększyć musimy!

— To czemuż się waćpan pierwszy do niej nie zaciągniesz? — zapytał urzędnik niecierpliwie.

Spytany machnął ręką.

— Ja się poświęcam piśmiennictwu.

Poeta zawstydzil się, jakby się i on poczuwał do winy i jał się usprawiedliwiać:

— Zawszem chciałem to uczynić, ale, czy uwierzycie, waćpanowie? Ile razy już miałem iść do kontroli, zawsze niespodziewane kłopoty i przeszkody stawały mi na zawadzie. Jednakowoż myśleć o tem nie przestaję i jeśli pozwolicie, odczytam niewielką pieśń, którą świeżo napisałem.

Wszyscy przyzwolili. Mieszkaniec stolicy, który także był trochę poetą, usadowił się wygodniej. Pan Dyonizy rozpoczął czytanie.

Była to oda na wzięcie Somo-Sierry. Z ogniem bujnej fantazy opisywał poeta ryk armat hiszpańskich, rozkazy Napoleona, szarżę kawalerii polskiej:

Już dym opada w gardle z granitów,  
Umilkły armatnie strzały  
I ze zdobytych hiszpańskich szczytów  
Lechickie orły powiały.

Tymczasem żyd powrócił z wiadomością, że zapewne za tydzień pan Żelechowski powróci.

Towarzystwo się rozeszło, skończywszy obiad, i pan Kleszewski, znużony nieco gwarem rozmów i ruchem, od którego odwykł, skierował się do swojej kwatery.

Idąc, rozmyślał, czem ten tydzień wypełni i obliczał skąpe swoje fundusze. Postanowił pójść do ministerstwa wojny, aby dowiedzieć się czegoś o swym synu z dziewiątego pułku piechoty, walczącego w Hiszpanii.

Pociągały go też posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół nauk, zobaczenie dawnych znajomych, którzy tu jeszcze zachować się musieli. Struktura jego upodobań miała swój początek w pięknych czasach, gdy wielbiono nauki i sztuki i od nich najbardziej oczekiwano odrodzenia narodu. Pojmował odrębność bieżącego wieku, i mówił sobie, że ludzkość może mieć tysiące sposobów bycia. A jednak nie mógł oprzeć się pewnemu gorzkiemu pobłażaniu, gdy patrzył na to pokolenie żołnierzy, które prosto z ławy szkolnej przesiadało się na konia. Mimo wszelkie zastrzeżenia, przenosił ponad nie swoje młodzieńcze dzieje: nauki, literaturę, rozprawy patriotów, chcących przedewszystkiem podnieść człowieka w Polsce. Teraz chciał jeszcze raz wejść między tych ludzi, poszukać ich. Ale było to trudno. Czas był wojenny. Wszędzie słyszał nowiny wojskowe i intrygi biur i ministrów.

— Trudno, — myślał, — widać my na wsi bliżej zostaliśmy dawnego kultu muz, aniżeli prawdziwi uczeni, którzy schronili się do miasta na odgłos trąb wojennych.

To go usposabiało smutno. Pewnego razu, gdy szedł ulicą, spotkał się oko w oko z Kajetanem Żelechowskim.

Ten był w trwodze: mówiono bowiem wszędzie, że dyrekcyja żywności zostanie zniesiona, i zaprowadzone opatrywanie wojska w odmienny sposób. Ponieważ mówiono także o redukcji wydatków na rząd, i zmniejszeniu ilości urzędników w różnych dyrekcyjach, pan Żelechowski, który był przezorny i trwożliwy, uczuł się jak lis w kniei, który słyszy i czuje idącą obławę.

Dziś dopiero powrócił z prowincyi i nic jeszcze nie wiedział pewnego.

Opowiadał to spiesźnie panu Kleszewskiemu. Ten rzekł:

— Panie Kajetanie, nie w porę to dla waćpana, ale zmusza mnie niegodziwa bieda prosić o zwrot mojej sumki.

Natychmiast pan Żelechowski rozwiódł skargi na taki fatalny zbieg okoliczności.

— Bo to nie tylko miejsce tracę — daj Panie Boże nie — ale, dowiedz się, wasińdzieju, (takie

miał przysłowie), żem sumy moje wszystkie ulokował na dobrach pojezuickich. Te zaś teraz nasza Izba edukacyjna chce traktować jako wieczyste jeno dzierżawy, i egzekwuje opłaty od tych, którzy się ich właścicielami być sądzą. Żąda też, by jej pretenzje stały na pierwszym miejscu, a nasze, wie-rzycieli, spadły na drugie. Uważasz to waćpan? Słusznie pan Łubieński, minister sprawiedliwości, broni naszych praw, mówiąc, że dobra wiara nasza w lokacyi owych sum nie powinna nas na szwank narazić.

— Samiście sobie winni, — rzekł pan Kleszewski, — wszakże to wszystkim wiadomo, że dobra pojezuickie są na edukację przeznaczone i stanowią narodową własność.

— Et, et! — strzepnął się pan Żelechowski, jak oparzony, — co też waćpan mówisz!... Tu o niewiedzących jest mowa, jak i ja sam byłem.

Wśród tego szybko obaj zmierzali w stronę zamku. Pan Żelechowski bowiem chciał być na sesyi sejmowej, na której losy dyrekcyi żywności miały przyjść pod obrady. Pan Kleszewski szedł z nim z ciekawości, zajmowało go bowiem wszystko, co się działo w rządzie i w stolicy.

Wchodząc już usłyszeli ogromny gwar i rozruch.

Gdy dostali się na trybuny, gdzie zasiadały w ścisłu damy z towarzystwa i ci z mężczyzn, którzy nie mogli znajdować się na dole, przekonali się, że wrzawa była radosna, i że cała izba w poruszeniu pochwałała coś, co zaszło. Nie trudno było się dowiedzieć, co to było. Wkoło powtarzano co chwila w różnych zwrotach o zniesieniu przez króla, na przedłożenie sejmu, dyrekcyi żywności. Pan Kajetan ocierał raz po raz wielkim fularem w kraty kroylisty pot na czole.

— Widzisz, waćpan, — powtarzał do pana Kleszewskiego, jakby żądając od niego ratunku.

Wtem dostrzegł kogoś znajomego, i precisnąwszy się do niego, powrócił po chwili nieco rzeświejszy.

— Ma nibyto biuro przejść do spraw wewnętrznych, pod zarząd ministra Łuszczewskiego. A, panie wasińdzieju, co za alternatywy!

Odetchnął jednak swobodniej. Pan Kleszewski słuchał i patrzył, i jak miał zwyczaj, snuł myśli i domniemania o namietnościach posłów sejmujących. Widział, jak każdy prawie nosił na sobie wyłożone na wierzch dobre rozumienie o sobie i ustawicznie szukał dla niego pokarmu, albo był zajęty broniem go. Nawet najlepsi z tych to się odzywali, bacznie, pamiętali o postawieniu się, i o niedaniu się. W ten sposób każda sprawa stawała się odrazu sprawą niemal prywatną między mówiącymi o niej posłami. Tymczasem wniesiono projekt o opatrywanie wojska żywnością w naturze przez prefekturę i o utworzenie specjalnej komisji, ale same te słowa tak wzburzały zgromadzenie, że kilku chcących o tem mówić nie mogło dać się zrozumieć. Następnie odrzucono ten projekt i marszałek Izby, Sołtyk, zakończył sesję, naczynając następną na jutro.

Podinspektor Żelechowski odzyskiwał coraz więcej dobą myśl, i gdy wychodził z panem Kleszewskim, mówił z przekonaniem, że odrzucenie przez sejm wniosku o utworzenie komisji nic nie znaczy, bo wszystko jedno, kto będzie miał tytuł rządzącego, a rzecz w tem, że biuro pozostanie. Oto teraz tylko, aby nie okrojono liczby urzędników przy zmianie organizacji. Ta myśl znów mu zapeściła czoło i poruszyła humory.

— Cała nadzieja, że książę Józef, który o wojsko dba, jak o kochankę albo rodzone dziecko, nie da zredukować nas, cośmy przecie, wasińdzieju, jak żołądek dla armii, — pocieszał się.

— Jeśli jednak oszczędność... — zaczął pan Kleszewski.

— Oszczędność! — oburzył się zaraz podinspektor, tknięty w czułą strunę, — a coż to, czy my żyć nie potrzebujemy, mój dobrodziej? Patrzno wasińdzieju, co to za oszczędność być może, nie-szczęśliwe rodziny dobrych patriotów na ulicę wyrzucić!

— Cóż waćpan myślisz, — rzekł pan Kleszewski ze zmęczonym uśmiechem, — przy tem całopaleniu naszym, to raczej zadziwia, że tylu dźwigamy urzędników na etacie.

— A, wasińdzieju, wasińdzieju, co też waćpan mówisz! — Tożby to ostatnia krzywda i niesprawiedliwość...

Wzdychał, idąc ze spuszczoną głową. Pan Kleszewski uśmiechał się: — Każdy widzi wszystko we własnym kolorze, — myślał. — Ja zapewne także...

— Chodźmy na Radę stanu, — rzekł podinspektor z determinacją. — Tam od jakiego podsekretarza można będzie dowiedzieć się, co się dzieje.

— Owszem, — odpowiedział pan Kleszewski, —